

SAGA RODU KIEROWNIKÓW

Z problemów zarządzania gospodarką

W ie o tym każdy chyba uczeń szkoły ekonomicznej, że proces inwestycyjny składa się z kilku odrębnych, niejako samodzielnych członów. Od programowania przez planowanie, projektowanie — aż do wykonawstwa, czyli robót budowlano-montażowych. I jest też oczywiście, że od każdego z tych etapów bardzo wiele zależy. Wystarczy, aby tylko jedno z tych ogniw „nawaliło” a już występują skutki ujemne dla całości. Coraz więcej specjalistów skłania się jednak do zdania, że do roli niejako wspólnego mianownika działalności inwestycyjnej w coraz większym miarze urasta wykonawstwo. W tej zaś sferze na czoło wysuwa się najniższe, najniższe, a zarazem podstawowe ogniwo — plac budowy.

Jeżeli plac budowy jest dobrze zorganizowany, można tu naprawić nie jedną nieprawidłowość procesu inwestycyjnego. Można przyspieszyć i usprawnić działalność poprzednich ogniw. Jeżeli plac budowy jest źle zorganizowany, można zaprzepaścić osiągnięcia poprzednich ogniw, można też pogłębić poprzednie zaniedbania.

Plac budowy

A jeśli plac budowy — to kierownik placu budowy. I nadrzędne instancje i podległe szczeble zgadzają się, że jak kierownik — taka budowa. Można by z tej opinii wnosić, że właśnie stanowisko kierownika budowy stanowi się przedmiotem szczególnej troski i wnikliwej analizy.

Jednakże mimo tych wszystkich względów ów zasadniczy problem: zakres obowiązków i uprawnień — jak również metody pracy kierownika budowy — nie został dotychczas właściwie uregulowany. Fotografia dnia pracy kierownika budowy została wprawdzie w sposób wnikliwy i naukowy wykonana, ale nie wyciągnięto z niej wniosków. Kierownicy dużych i małych budów są jak dawniej nadmiernie obciążeni za daniami nietechnicznymi i nieprodukcyjnymi. Mało tego. Jak dotychczas nie pokuszono się także o próbę opracowania wzorcowej, przykładowej budowy. Ani w budownictwie przemysłowym — co bez wątpienia jest trudniejsze, ani w budownictwie mieszkaniowym, lub tzw. specjalnym (szkolnym, zdrowia).

15 procent czasu

Podobne zjawisko obserwujemy także w obrocie towarowym. Szermuje się tu — i nie bez racji — twierdzeniem na temat kluczowej roli kierowników sklepów, owych podstawowych placówek handlu detalicznego. Uważa się, że kierownik powinien czuwać nad ruchem w sklepie, rozmawiać z klientami, wysłuchiwać ich uwag i postulatów. Powinien...

Rzeczywistość odbiega jednak znacznie od tej teorii. Kierownicy nie

wywiązują się na ogół z tych swoich funkcji. Często dlatego, że nie posiadają odpowiednich kwalifikacji i nie potrafią się z tych obowiązków wywiązać. Często zaś z przyczyn raczej obiektywnych. Idzie o to — podobne zjawisko występuje także w budownictwie — że kierownicy sklepów muszą wykonać wiele czynności, które nie mają nic wspólnego z obsługą klientów. Muszą utrzymywać zbyt częsty kontakt z dyrekcją przedsiębiorstwa, brać udział w zbyt częstych zebraniach, naradach i komisjach, wypełniać zbyt wiele najrozmaitszych formularzy, druków i sprawozdań. Obliczono, że na ogół kierownicy sklepów tylko 15 proc. swojego czasu pracy są w stanie poświęcić swoim podstawowym obowiązkom.

Sprawozdania i reprezentacja

Podwórko „Merkurego” nie jest jednak jedynym — obok budownictwa — działem gospodarki, gdzie w praktyce nie docenia się roli i zadań kierowników najniższych ogniw zarządzania. Podobnie dzieje się w gastronomii. Od dawna mówi się tu co prawda o konieczności podniesienia na wyższy poziom funkcji kierowników barów i restauracji, ale nie jakoś z tego nie wychodzi. Kierownicy są bowiem nadmiernie obłożeni funkcjami pseudoorganizatorskimi oraz statystyczno-sprawozdawczymi i z tej racji nie mogą wywiązać się z obowiązków koordynatorów w obsłudze konsumentów, w kontroli realizacji zamówień składanych w przedsiębiorstwach, w produkcji kuchennej.

O podobnych zjawiskach donoszą także ze sfery usług. Kierownicy placówek usługowych zbyt wiele czasu muszą poświęcać najrozmaitszym urzędowym formalnościom, wypełnianiu statystyk i sprawozdań, konferencjom i naradom w dyrekcyjach przedsiębiorstw i spółdzielni, tzw. re prezentowaniu. Na bezpośrednią troskę o poziom obsługi klientów, o sto pień zaspokojenia ich wymagań — nie pozostaje już czasu.

Spostrzeżenia te, obserwowane na tle pracy działów gospodarki związanych z obsługą rynku wewnętrznego są nader charakterystyczne. Do wódz, że mamy tu do czynienia z istotną nieprawidłowością, która stanowi jeden z hamulców na drodze do zastąpienia rynku wytwórców lub — że użyjemy urzędowego zwrotu — dawcy usług, rynkiem konsumenta.

W usprawnianiu systemu zarządzania najwięcej miejsca zajmowały do tychczas ognia — jeśli tak można rzec — średnie. Zjednoczenia, centralne handlowe, przedsiębiorstwa. I chyba słusznie. Wydaje się jednak że zbyt mało uwagi poświęciliśmy — przynajmniej na razie — ogniom najniższym. Sklepom, zakładom gastronomicznym, punktom usługowym. A one przecież są najbliższe klienta i konsumenta.

działacz Komitetu Przeciwdziałania alkoholizmu oceniają, że w Polsce jest około 600 tysięcy alkoholików, z czego 400 tysięcy kwalifikuje się do leczenia zamkniętego... Warto scharakteryzować typy pijących — i według indywidualnej klasyfikacji uświadomić pijakom, kategorię w jakiej się znajdują i drogę, jaką odbywają od przypadkowego kieliszka do nalogu.

Najbardziej rozpowszechnionym typem jest pijak towarzyski, tj. człowiek, który pije wyłącznie wówczas, gdy względy towarzyskie tego wymagają. Ten nie stanowi problemu. Ale jego sąsiad — pijący w towarzystwie regularnie, tj. taki, który systematycznie w związku ze środowiskiem, pracą, obowiązkami musi lub lubi „strzelić sobie kielicha” — stanowi pierwszy stopień nalogowego zagrożenia. Trzecim typem — jest człowiek przyzwyczajony do alkoholu, który nie uznaje już żadnego wydarzenia życiowego: rodzinnego, społecznego, zawodowego, bez wódki. Od ślubu po chrziny, od święta po dobiecie interesu, od ukupienia się na nowe środowisko pracy po awans, od rozpoczęcia roboty po jej zakończenie — od imienin po stypę — każda okazja wymaga „obłania”. Śro-

szek bo w kompanii... W ten sposób wyrabia się odruch warunkowy: nie tylko zielone światło zachęca ale każde światło, nie tylko dzwiek dzwonka ale każdy dźwięk...

Czwarty typ to już typ nalogowca. Temu niepotrzebna już jest żadna okazja ani uzasadnienie. On wyksztalił już w sobie nawyk nerwowy, gruczołowy i jego łaknienie pcha go do kieliszka z przemożną siłą.

I wreszcie człowiek psychicznie chory: alkoholik, nienawidzący samego siebie, pogardzający sobą i litujący się nad sobą, o



DODATEK GŁOSU WIELKOPOLSKIEGO

Nr 283 2. IV. 1967 Rok VII

Wyjątkowy tłok panuje w salach Biura Wystaw Artystycznych w Arsenale. Galeria BWA oferuje bowiem widzom rzecz zupełnie u nas wyjątkową — możliwość obejrzenia w oryginale plansz graficznych Picassa, Chagalla, Kandyńskiego, Braque'a, pochodzących ze zbiorów paryskich wzbogaconych zestawem wypożyczonym z polskich kolekcji sztuki obcej: Muzeum Narodowego w Warszawie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Muzeum Pomorskiego w Gdańsku. A więc duża, bardzo ciekawa, ale dość właściwie trudna do zrealizowania wystawa. Trudność tę sprawia dość przypadkowy zestaw prac poszczególnych artystów, z różnych okresów ich twórczości, różnorodność kierunków i postaw artystycznych, natłok prac autorów o wielkich nazwiskach, — prac odcieranych jednak od szerszego tła ich artystycznej działalności. Stwarza to pewną trudność, oczywiście tylko dla piszących o wystawie, nie stanowi chyba jednak żadnej przeszkody dla widza. Może on swobodnie traktować tę wystawę jako coś w rodzaju antologii, wyboru prac ze światowego arsenału plastyki, jako lekcję hi-



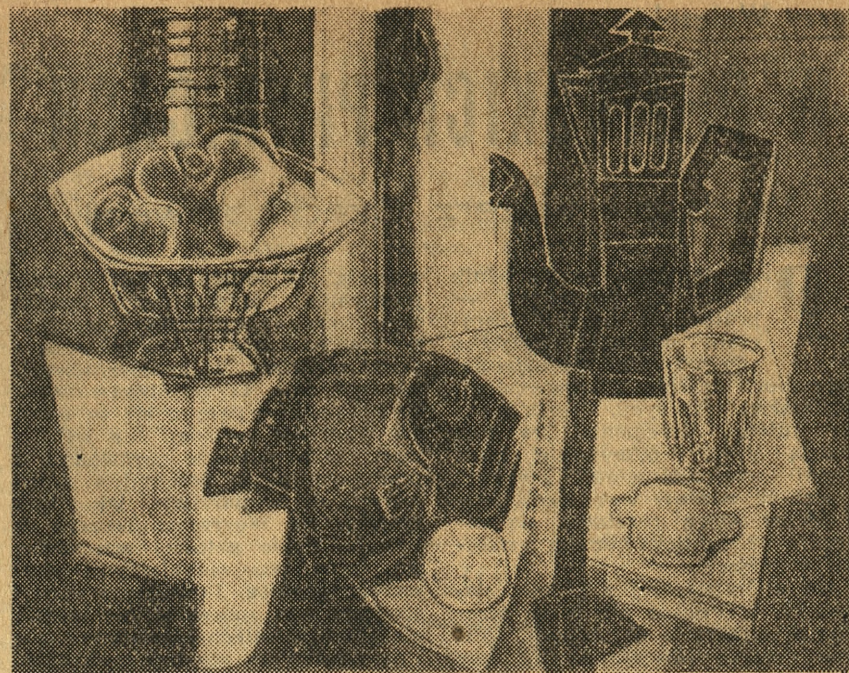
Le Colas — Konstrukcje

chwielnych reakcjach, popadający w nastroje neurasteniczne, półświadomy, infantylny, pozbawiony własnej osobowości, żyjący w świecie kłamstw, fantazji i urojeń. Człowiek kwalifikujący się do leczenia psychicznego.

Powiedzmy sobie jasno: najskuteczniejszym orężem w walce z alkoholizmem jest prewencja! A z tą prewencją w kraju, który ma smutne rekordy nie jest najlepiej. Trzy czy cztery afisze,

każdy kto stwierdzi, że pije codziennie — nawet jeden, dwa kieliszki — potencjalnie staje się kandydatem na alkoholika. Ani się spostrzeże jak z jednej kategorii pijaka przejdzie do drugiej i trzeciej... Chemia organizmu i odruchy nerwowe będą domagać się regularnych dawek.

Zasadniczo regularna praca i regularny odpoczynek, wysiłek fizyczny (sport) i zabawa — stanowią naturalne antidotum na stany napięć nerwowych skłaniających do szukania ulgi i odprężenia w kieliszku. Długi spacer może zastąpić łaknienie wódki.



Georges Dayez — Czarny dzbanek do kawy.

Olgierd Błazewicz

PLASTYKA

PICASSO I INNI

storii najnowszej grafiki ilustrowaną przykładami prac największych. Braque'a, Legere'a, czy Picassa.

Na wystawie w Arsenale króluje Picasso. To nie tylko sprawa rozgłosu nazwiska. Twórczość Picassa reprezentuje tu największy zestaw kilkunastu prac wzbogaconych planszami z kolekcji Muzeum Narodowego w Warszawie. Zestaw picassowski prezentuje przy tym właśnie wszystkie charakterystyczne cechy twórczości starego mistrza współczesności — jej dynamizm, jej literackość, jej transkrypcyjny wobec starej sztuki charakter. Pokazuje wreszcie coś, czego przeciętny widz się nie spodziewa, co przynosi mu całkowite zaskoczenie: pewien klasycyzm Picassa, ogromną dyscyplinę rysunkową jego plansz, wyraźnie antyabstrakcyjny, przedmiotowy charakter jego sztuki, nieraz jakże niesłusznie utożsamianej z obiegowo rozumianą „nowocześnieścią” abstrakcji i dekoracji na tzw. „pikasa”. Drugą, wielką, zwracającą uwagę na wystawie, indywidualnością jest Chagall. Tutaj zestaw prac, niestety, jest dość skromny, ale za to również typowy, charakterystyczny w jakimś stopniu dla samego wystawcy. Dla Chagalla grafika to kontynuacja jego malarstwa, jego dalsze przedłużenie. Poznanie plansz litograficznych Chagalla, plansz literackich i sugestywnie subiektywnych stwarza znakomitą okazję do zrozumienia istoty jego malarstwa, jego poetyckości z pograniczy — zawsze najciekawszych — wielkiej sztuki i podejrzanego melodramatycznej opowieści. Jest przypomnienie nam na czasie, bardzo dziś aktualnym, że literackość planszy przestała być już obecnie wadą, a jeśli kryje się za nią jakiś prawdziwy dramat artysty może stać się nawet najwyższą jej zaletą.

Wystawa w Arsenale preferuje

sztukę przedmiotową, figuratywną. Przynosi ona dla mniej zorientowanego w geografii sztuki współczesnej widza wielką niespodziankę. Lokalizuje wyraźnie sztukę abstrakcyjną poza głównym nurtem plastyki francuskiej: w Ameryce, w krajach młodej plastyki. A więc w krajach pozbawionych wieloletnich tradycji starej plastyki francuskiej, która w nalażym impresjonizmie i postimpresjonizmie, kubizmie i sztuce ekspresjonistycznej, nie wynalazła jednak i nie zaakceptowała w pełni abstrakcji.

Poza twórczością Picassa i Chagalla największą uwagę budzą w Arsenale plansze Braque'a i Miro oraz bardzo interesujących dziś Europę Japończyków tworzących we Francji: Kumi Sugaia, Kiyoshi Hasegawy, Zao-Wo-ki. Mniej interesujące natomiast niż by można się tego spodziewać po rozgłosie sztuki optycznej (op-art) będącej rewelacją ostatnich sezonów na Zachodzie okazały się plansze jej głównego twórcy Vasarelliego oraz twórców malarstwa znaku i kaligraficznego zapisu planszy: Hartunga i Pierra Soulages'a. Oczywiście trudno na podstawie paru prac i tylko na podstawie tej wystawy wyrobić sobie pogląd na całą ich twórczość. Warto chyba jednak zasygnalizować tu jedno. Bardzo wysoką rangę prac starych mistrzów współczesności i dość blady zestaw modnych wielkości ostatnich sezonów. Poznanie jednak nawet i tego stwarza ogromną szansę poznania plastyki i całej publiczności. Biuro Wystaw Artystycznych w Poznaniu należy się więc słowa wielkiego uznania za przygotowanie tej wystawy i pokazanie jej na zasadach polskiej prapremiery właśnie w Poznaniu.

Galeria BWA — Stary Rynek — Arsenale „Współczesna grafika we Francji”.

nych na urojenia — stanowią w sprzyjających okolicznościach materiał na nalogowców. Chodzi więc o to, aby tych sprzyjających okoliczności nie stwarzać. To ogromne pole do popisu dla pedagogów, członków rad zakładowych i organizacji społecznych.

I wreszcie trzeba, aby każdy pijący zdał sobie sprawę z paru podstawowych prawd: jak często pije i ile pije? — od jak dawna pije i dlaczego pije? I

Droga do alkoholizmu biegnie łagodnie w dół i zainteresowany ani się spostrzeże, gdy jest już na dole i trudno mu piąć się do zdrowia, pod górę. Tylko racjonalna prewencja, zapobieganie — stanowi jedyny skuteczny środek przeciwko społecznej chorobie alkoholizmu. Tylko człowiek, który wie, że potrafi pić w sposób umiarkowany, który nie pije, aby uciec od trudności i napięć i który umie powiedzieć sobie w każdej chwili „stop” — posiada zdolność nieszkodliwego picia. Wszyscy inni pijący są na krawędzi zagrożenia.

Zapamiętajcie więc: nie pić wówczas gdy potrzebujecie „jednego”. Pić słaby, rozcieńczony alkohol — drugi kieliszek w pół godziny po pierwszym, trzeci dopiero po godzinie. Nie pić regularnie, codziennie! Nie pić na pustoty żołądek. Zastępcie wódkę — soki, barszczem, bulionem — jeśli przywykliście pić do posilku. Pamiętajcie, że kąpiel i zimny prysznic w stanach napięć nerwowych są skuteczniejsze od alkoholu. Nie używajcie wódki jako lekarstwa na dolegliwości fizyczne i psychiczne. Nigdy nie pijcie rano i nie wierzcie w klina.

ROZ

Przepraszam, czy można?

Nie wierzcie w klina

szek bo w kompanii... W ten sposób wyrabia się odruch warunkowy: nie tylko zielone światło zachęca ale każde światło, nie tylko dzwiek dzwonka ale każdy dźwięk...

Czwarty typ to już typ nalogowca. Temu niepotrzebna już jest żadna okazja ani uzasadnienie. On wyksztalił już w sobie nawyk nerwowy, gruczołowy i jego łaknienie pcha go do kieliszka z przemożną siłą.

I wreszcie człowiek psychicznie chory: alkoholik, nienawidzący samego siebie, pogardzający sobą i litujący się nad sobą, o

W PEZIŃSKICH PIWNICACH

Wzdłuż i w szerz Czechosłowacji

Pisze te słowa — Czytelnik zechce mi wybaczyć — prosto... z beczki! Zaręczam wszakże: wszystko odbywa się najzupełniej normalnie, zgodnie z „protokołem” winiarskich tradycji, sięgających XV stulecia. Cereemoniał ów dość zresztą prosty przewiduje kilka stopni „wtajemniczenia”. Pierwszy z nich to właśnie owo zamknięcie w beczce, którą przetacza się następnie wraz z delikwentem z miejscy w miejsce...

Ale w najstarszej z piwnic słowackich w Pezinie nie tylko cereemoniał „przyjęcia do zawodu” jest przestrzegany starannie. Tutejsze wino posiada swoją specyfikę dzięki zastosowaniu odpowiedniej technologii produkcji, opartej na własnych recepturach, zachowanych od 100 a nawet i więcej lat. Większość gatunków jest lekka i świeża. Posiada też charakterystyczną woń i smak dzięki zawartości taniny i chlorofilu, a także rozmaitym dodatkom do win w czasie ich beczkowania i filtrowania. Od żółto-zielonych kwaskowatych reńskich rizingów po rubinową Frankovkę i aromatyczny Sauvignon, których zapach przypomina... młodą pokrywę po deszczu i zerwaną świeżo brzoskwinie.

Wąskie, kręte schody prowadzą nas do piwnic zamkowych pamiętających czasy Przemysławów i służących już wówczas do przechowywania wina. Oto najstarsza z piwnic zwana „Świątą”. Długi rząd debowych beczek zdobionych rzeźbionymi motywami ze Starego i Nowego Testamentu. Powiada się o tych beczkach, że warte są tyle ile nagromadzone w nich wino. Największa, pomieścić może ponad 16 tys. litrów. Są również cenne z innego punktu widzenia. Wiele z nich posiada bowiem wyrzeźbione autografy sławnych mężów; m. n. naszego rodzimego, jakże związanego z Leszkiem Komenskim i Kreutzera, któremu noc spędzona na słowackim winobranu posłużyła ponoć jako inspiracja do napisania pięknej sonaty o motywach hiszpańskich (?)

Zabawne jest podслуhać rozmowy winiarzy. Mówią oni: „wino jest bez duszy”, jest „bezpłodne”, „starcze” czy „zepsute leczeniem”. Najbardziej wszakże dokładna kontrola analityczna nie jest w stanie wykazać „duszy wina”, na którą składa się mnogość elementów — m. in. jego skład chemiczny, aromat i pokrewieństwo z innymi gatunkami. Czy smak będzie odpowiedni, zależy to w zasadzie od składników chemicznych i warunków przechowywania wina. Nie od dzisiaj jednak wiadomo, że np. hałaśliwe otoczenie źle wpływa na jakość trunku. W pobliżu fermentującego wina obowiązuje zakaz palenia i używania środków chemicznych (zwłaszcza płynów po goleniu). Ba, eksperci powiadają, że nawet obecność kobiet ma wpływ szkodliwy!

Zajrzeliśmy w czasie zwiedzania piwnic do flaszki. Odnosi się tu wrażenie, że robotnicy się nie prze-

męczają. Ich zadaniem jest głównie pilnowanie automatów. Butelki czyszczone są, napełniane i zamykane mechanicznie. Z taśmy winiarskich zakładów w Pezinie schodzi każdego dnia 40 tys. litrów (wina beczkowego wytwarza się tu około 850 wagonów rocznie). Nie jest to, rzecz jasna, wiele w porównaniu z produkcją takich potentatów światowych w winiarstwie jak firmy egerskie na Węgrzech. Toczono w Pezinie lekkie gatunki win cieszą się coraz powszechniejszym zbytem za granicą. Powodzenie miejscowych win sprawdza się zresztą nie tylko w salach biesiadnych, ale i na wystawach międzynarodowych. Poszczycić się one mogą swoistym rekordem zdobytych medali; ma je na swoim koncie każdy z produkowanych tu gatunków. Chronią je charakterystyczne znaki patentowe, no i nazwy, pod które trudno jest się podsyć, jako że wywodzi się od okolicznych miejscowości, gdzie znajdują się plantacje winorośli. Przywiązuje się też dużą wagę do dalszego rozszerzania powierzchni winnic i odnawiania starych kultur. Ta dwukierunkowość opłaca się — bowiem odnawianie kosztuje mniej w sensie robocizny i nakładów. Ma też swoje uzasadnienie — w ciągłym braku ludzi do pielęgnowania upraw. Winnice wymagają całorocznej, ciężkiej pracy, której trud zniweczyć może byle plaga, byle nagła zmiana aury!

Właśnie ubiegły rok — chłodny i mało słoneczny — był bardzo nieprzychylny dla winiarstwa słowackiego. Jakość wina była stosunkowo gorsza niż zazwyczaj. Poza pogodą, sytuację komplikowały dodatkowo powtarzające się choroby winorośli, dotkliwe zwłaszcza na plantacjach porastających piaszczyste, południowe stoki Małych Karpat.

Ale tutejsze winnice, choć kłopotliwe w uprawie i pracochłonne, nie są skazane na wymarcie. Siegnąć by trzeba do najstarszej tradycji, by wytłumaczyć osobliwy kult wina, jaki wytworzył się wśród ludności słowackiej. Nie ma sobie równych wśród innych narodów słowackich. Jest w nim wszystko; odwaga, umiłowanie swobody, czar młodości... nie przypadkiem też mieszkańcy Modrej, Limbachu czy Trnawy powtarzają w swych melodyjnych ludowych pieśniach, że „wino nie jest wodą, jest tykiem wolności...”

W czasie zwiedzania archiwum winiarskiego w Pezinie (jest i takie!), kiper zademonstrował nam zakres swoich umiejętności. Z zawiązanymi oczyma rozpoznawał rozmaite gatunki win. Podsunęliśmy mu szklankę wody. Spróbował, zastanowił się przez chwilę. Odpark po namyśle;

— Nie, czegoś takiego jeszcze nie piliem!

Tradycje winiarskie Słowacji są na swój sposób piękne. Tutejsi specjaliści od turystyki nie byłiby sobą, gdyby nie wykorzystywali tego dla celów reklamy. Robią to zresztą ładnie i zgodnie z prawdą.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Piękna to już seria, licząca dotychczas szesnaście monografii, biografii, wspomnień związanych z najbardziej słynnymi nazwiskami w dziejach malarstwa. Wiele wyczerpanych tytułów osiąga nader wysoką cenę antykwaryczną, co jest najlepszym sprawdzeniem dla książki. Obecnie w opracowaniu Pierre Courthion'a otrzymaliśmy nowy wolumen „Daumier w oczach własnych i w oczach przyjaciół”, nader żywo, mądrze i atrakcyjnie zarazem zarysowaną sylwetkę wspaniałego artysty XIX wieku, znanego nade wszystko jako genialnego karykaturzysty swojej epoki. W doskonale powiązanym wyborze wypowiedzi, artykułów, korespondencji i dokumentów samego Daumiera, jak też ludzi tak lub inaczej z nim związanych, niecodzienna, malownicza ta postać ożywa a wpływ jej na rozwój sztuki uwypukla się bardzo wyraźnie.

Może nie najwyższej miary, ale na pewno w jakimś stopniu jest wydarzeniem na naszym rynku literackim zapoznanie czytelnika polskiego z twórczością zmarłej przed niespełna 10 laty pisarki angielskiej Rose Macaulay. Książka jej „Życie jest powieścią idioty”, na pół powieść, na pół monografia, ma za treść dzieje czterech pokoleń rodziny angielskiej w latach 1879—1923, ukazanych z pewnego ironicznego dystansu, na tle historycznych wydarzeń, z osobliwą umiejętnością nienagannego wprowadzenia masy szczegółów, detali, drobniactw, składających się łącz-

nie na barwny i panoramiczny obraz.

Dzięki PIW-owi mamy możliwość poznania jednego z ciekawszych dzieł młodej, budzącej się właściwie dopiero literatury afrykańskiej. Mongo Beti (a właściwie Aleksander Biyidi), Kameruńczyk, w powieści „Biedny Chrystus z Bomby”, przez formę niby dziennika murzyńskiego chłopca, towarzyszącego misjonarzowi w podróży inspekcyjnej, ukazuje szczególnie, nader osobliwy a zarazem pociągający w ka-

wszędzie, w każdym warunkach. Ceccherini'ego los był wcale bogaty, Legia Cudzoziemska, dziesiątki zawodów, więzienia, samokształcenie, wreszcie literatura, mająca co czerpać z sumy własnych przeżyć. I „Droga” ma wiele materiału autobiograficznego, jest nawet jakby swoistym dziennikiem procesu nie tylko stonowionych jakby to przeżyć zewnętrznych, ale psychologicznego procesu ratowania własnej ludzkiej godności. Książka bardzo humanistyczna w swojej wymowie.

Eugeniusz Paukszt

Od Courthion'a do Machado

tegoriach swych pojęć świat Afryki, Afryki czarnych wyrwanych z życia w buszu, i świat białych, usiłujących w różnej formie narzucić tamtym własny system myślenia, reagowania, uczucia. Odmienności kultur prowadzą, bo muszą prowadzić do niezrozumienia i spięcia.

Warto by z kolei zalecić rzecz włoską, również o nieco „egzotycznym” posmaku. „Droga” Silvano Ceccherini'ego pociąga nie tym, iż jest to książka pisana przez skazańca w więzieniu, iż odświeża szczególny klimat życia poza kratami, ale jakby naprzekór temu wszystkiemu mocno zaakcentowanym świadectwem niezniszczalności pozytywnych wartości w człowieku, zawsze,

„Łabędzie i śnieg” Gieorgija Siemionowa, przedstawiciela młodego pokolenia pisarskiego Moskwy, to wybór najlepszych, przesyconych liryzmem i ciepłem opowiadań niezwykle serdecznie związanych z człowiekiem. Wnikliwość psychologiczna, doskonała znajomość realiów, odczucie przyrody jako czynnika integralnie wiążącego się z dolą ludzką, wreszcie bardzo indywidualne, własne podejście w rozstrzygnięciu podejmowanych zagadnień sprawiają, że czyta się te ciekawe piórkiem snute utwory z rzadkim zainteresowaniem.

I jeszcze informacja o seriach PIW-owskich. W „Jednorozcu” otrzymaliśmy Borysa Ławrieniewa „Czterdziesty pierwszy”, głosne opowiadanie z czasów wojny domowej, z akcją rzuconą na tło Azji Środkowej, z dramatycznym powikłaniem spraw miłości i polityki. W poetyckiej serii „celofanowej” natomiast Artur Międzyrzecki, autor przekładu i wstępu zaznajamia w tomiku „Serce i kamień” z twórczością jednego z najwybitniejszych poetów hiszpańskich naszego stulecia Antonio Machado.

Ewa Berberyusz

Nielatwo być emigrantem

Patrz, co za skandal — moi angielsko-polscy krewni, na stałe zamieszkali w Anglii, nie posiadali się z oburzenia. — Patrz, co za skandal i co za świństwo!

— Co się stało?

— Dzieciom z mieszanych małżeństw angielsko-polskich zabroniono służyć w niektórych broniach.

Spojrzałam po rodzinie. Skąd to święte oburzenie? Czyżby cztery małe córki (synów nie posiadają) zamierzali poświęcić wojskom rakietowym na służbie Jej Królewskiej Mości?

Sprawa zatoczyła szerokie kręgi, acz miała głównie charakter teoretyczny. W końcu nie tak wielu synów mieszanych małżeństw pragnie wstąpić do lotnictwa czy marynarki angielskiej. Są to sporadyczne wypadki. Kariera wojskowa nie jest tu dziś zbyt popularna. Walka o prawo do pełnej służby wojskowej miała więc charakter teoretyczny. Typowe jednak jest to, że emigranci nie czują się pewni w swoich przybranych ojczyznach. Najmniejszy akt ograniczający — choćby prak-

tycznie, niczego nie odbiera — uważany jest za pewną formę ataku ze strony władz, za rodzaj szykany, a przede wszystkim za zagrożenie na przyszłość. Stąd święte, choć ściśle teoretyczne oburzenie moich angielsko-polskich krewnych.

Walka jednak rozgorzała na noże. Przez tydzień dzienniki brytyjskie, a głównie polskie pisma emigracyjne, poświęcały im swoje łamy. Jakich poseł w Izbie Gmin bronił sprawy Polaków, dowodząc, iż to absurd odmawiać synom tego, za co życiem płacili ojcowie, służąc w czasie wojny w armii angielskiej. Kontrargumenty nie mają tak lapidarnej wymowy; są znacznie bardziej zawile. Oto one: dzieci dwu ojczyzn, od urodzenia poddane dwojakim wpływom; dzieci dwu krajów, których interesy — choć dążące do zbliżenia — nie są wszak identyczne — takie dzieci mają w sobie pewną dwoistość, wewnętrzny dualizm. I nie tylko wewnętrzny! Podnosi się sprawę dwujęzyczności, jako czynnika budzącego podejrzenia. Tu następuje lista asów wywiadu — ze słynnym Blake'em na czele, któremu udało się niedawno zbiec z angielskiego więzienia, gdzie odbywał swą dożywotnią karę — a którzy mieli w sobie obcą krew i władali równo- rzędnie dwoma językami. (Blake był Holendrem). Ktoś posłużył się nawet, jako argumentem, pracą doktorską pewnego językoznawcy, który dowodził niezbicie, posługując się metodami naukowymi — wprost proporcjonalnego wpływu dwujęzyczności na upodobania do pracy wywiadowczej, do służenia wywiadem po obu stronach. Pełnej zaś dwujęzyczności nie, można bowiem nabyć staraniem, nauką w wieku dojrzałym — trzeba w niej wzrastać. Przyswajając sobie spontanicznie... Jakże więc zawierać im sprawę o charakterze „top secret?”!

Tu spojrzałam na moich polsko-angielskich krewnych i zadumałam się. Co tu mówić o dwujęzyczności! Nawet dzieci rdzennych Polaków, którzy osiedlili się w Anglii, nie są dwoiste językowo. Może obyczajowo, nawet światopoglądowo, ale nigdy językowo. Językowo są angielskie. To bowiem, co się tu nazywa mówieniem po polsku w domu, nie jest polszczyzną, tylko żałosnym wolapikiem.

Sprawa po pewnym czasie przyzięła i zastygła nie rozstrzygnięta. Ktoś komuś dawał obietnicę zbadać ją ponownie, zrewidowania decyzji, i na tym się skończyło. Wśród emigrantów jednak pozostał osad.

Przeglądamy Prase

Dzisiaj o kulturze — nie tylko w szczegółowym sensie tego pojęcia. „Argumenty” od kilku tygodni prowadzą dyskusję na temat stosunków międzyludzkich, których nieodłącznym a może nawet głównym elementem jest

KULTURA WSPÓŁZŁYCIA

Ta ostatnia łączy się między innymi ze sposobem wygłaszania i przyjmowania krytyki. Nawiązując do tych spraw Henryk Jankowski w felietonie „Głędła wartości” zamieszczonego w „Argumentach”. Autor dzieli ludzi na tych, którzy z powodu krytyki w stosunku do nich szukają możliwości „odgrzyżenia się” i na tych, którzy krytykują permanentnie, by wyrabiać sobie — często niezastępowane — opinię zaangażowanych.

„Wytworzyło się — pisze Jankowski — nowe zjawisko społeczne, które można by określić mianem uzyskiwania swoistego immunitetu w wyniku krytyki, której celem nie jest realizacja jakichś merytorycznych wartości społecznych, lecz właśnie uzyskanie owego immunitetu. Rzecz polega na tym, iż niektórzy ludzie czując się zagrożeni w danym kolektywie czy instytucji ze względu na słabe kwalifikacje lub słabą pracę, utrzymują się na stanowiskach przy pomocy krytyki permanentnej. Pozornie wyglądają oni na sztan-

darowych nonkonformistów w stosunku do własnego kolektywu w imię ogólnospołecznych i ogólnopństwowych wartości. Krytykują więc odważnie wszystkich swych przełożonych, wyrabiają sobie przez to opinię ludzi ideowych i zaangażowanych. Jest więc rzeczą zrozumiałą, iż z kolei kierownictwo zakładu nie może ich zwolnić ze służby z tych powodów, bo wiem ci, którzy korzystają z „immunitetu krytyki”, będą zawsze bronić się tym, iż zwolnienie ich z motywacją braku odpowiednich kwalifikacji, lub po prostu słabej pracy, jest zwyrodniałym aktem zemsty krytykowanego kierownictwa”.

Tak, jak to przedstawia Jankowski, wszystko wydaje się proste, jednoznaczne. Rzadko jednak bywa tak w życiu, w którym sprawy mają się bardziej skomplikowanie. Najczęściej postawy ludzi nie są tak wyraziste, co uniemożliwia wprost rozstrzygnięcie ich w prosty i jednoznaczny sposób. Jednakże tezę przedstawił przez Jankowskiego warto zapamiętać, choćby w imię zdawania sobie sprawy z tego, jak skomplikowane jest to, co określamy stosunkami międzyludzkimi lub kulturą współzłycia.

MIEJSCE WSI

Z kolei o innym pojęciu kultury. Przedstawiając perspektywę kultury w 1985 r. Marcin Czerwiński w tygodniku „Kultura” pisze m. in. o miejscu wsi w kulturze ogólnej. Zdaniem autora odrębność kulturowa wsi jest w zaniku i sprawy zmierzają do zasadniczej integracji miasta z wsią w ramach wspólnej kultury określonej przez te same wzory konsumpcji oraz te same bodźce dostarczane pod postacią twórczości kulturalnej. W

tych ramach wieś tworzyć będzie zapewne jednak wyraźną subkulturę środowiskową. Tymczasem życie na wsi odczuwane jest przez ruchliwych mieszkańców, np. młodzież jako uboższe w bodźce, w okazje doznań przyjemnych, w materiał poznawczy, w szanse ekspansji osobowej.

„Powoduje to — zdaniem Czerwińskiego — odpływ jednostek przedsiębiorczych ze wsi do miast. Odpływ ten w pewnym mierze będzie się utrzymywał z tendencją malejącą, niemniej koniecznością staje się coraz częściej powrót osób wykształconych w mieście do rolniczych lub pozarolniczych zajęć na wsi. Ta ostatnia kategoria mieszkańców wsi będzie w przyszłości grupą wzrostową. Przewiduje się, że w r. 1985 osób tych będzie na wsi więcej niż rolników właściwych. Nowa subkultura wiejska winna więc oprzeć się na swoistych wartościach odkrytych przez ludzi po stażu studiów w mieście”.

To przewidywanie jest na pewno pożądane z punktu widzenia nie tylko mieszkańców wsi, ale tak że interesów kraju. Czy jednak spełni się w okresie, o którym pisze Czerwiński? To zależy w dużym stopniu od tego, jak już teraz dba się o rozwój kultury na wsi. Jednym z przyczynków do tego jest dbałość o docieranie na wieś z jak najlepszymi imprezami. Przekonanie o tym, że na wieś można pojechać z byle czym jest nie do przyjęcia. Pisze o tym w artykule

CIĘŻKA WAGA LEKKIE MUZY

Julian Mikołajczak na łamach „Tygodnika Kulturalnego”, omawiając kwestie związane z poziomem imprez estradowych. Ich odbiorcą jest najczęściej tzw. te-

ren: tylko w Wielkopolsce co 2 — 3 godziny odbywa się występ firmowany przez Estradę. Wielkopolska Estrada — zdaniem autora uducha przełamać łatwizną, utrwalone wieloletnim nawykami bo — jak pisze — nie tylko organizatorzy, ale i sami wykonawcy dbają o zabezpieczenie także wiejskiej widowni jak najwyższego poziomu imprez. Wciąż jednak jest sporo trudności. Prawidłowy rozwój estrady zależy nie tylko od niej samej.

Autor, podsumowując swoje rozważania, dochodzi do wniosków, z których część może się okazać na tyle trudna w realizacji, na ile jest dyskusyjna. Bo czy można np. jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie: czy Estrada ma być przedsiębiorstwem dochodowym, czy instytucją twórczo-artystyczną z poważnymi zadaniami w dziedzinie upowszechnienia kultury, zwłaszcza w środowiskach oddalonych od większych centrów miejskich? Chyba to nie może być alternatywą. Należałoby raczej — w miarę możliwości — łączyć i jedno i drugie, z żadnego nie czyniąc fetyszu.

Żeby jednak osiągnąć poprawę merytorycznej działalności Estrady, trzeba z pewnością — jak sugeruje autor — kształcić w szkołach muzycznych i instrumentalnych potrzebnych Estradzie; trzeba przedkładać żywot wartościowych programów przez zagwarantowanie systematycznej wymienności między województwami; trzeba umożliwić lepsze niż dotychczas wyposażenie w odpowiednie urządzenia techniczne.

Z pewnością wszystko to powinno służyć polepszeniu działalności estradowej, chociaż samo, bez wypracowania lepszych niż dotychczas koncepcji, jeszcze nie załatwi problemu.

LEKTOR